

WIADOMOŚCI ILUSTROWANE.

№ 15.

Wilno, 8 (21) grudnia 1913 r.

Rok I.



Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus.

25-letni jubileusz.

„Kurjer Litewski“ z dnia 3 grudnia r. b. zamieścił w dziale spraw osobistych następującą notatkę:

„W niedzielę w restauracji hotelu Bristol grono najbliższych przyjaciół politycznych podejmowało redaktora Józefa Hłaskę w celu uczczenia 25-lecia jego pracy publicystycznej i działalności publicznej. W czasie uczty dr. Witold Węśławski po wygłoszeniu odpowiedniej przemowy wręczył jubilatowi złote pióro, jako dar jubileuszowy od przyjaciół wileńskich. Redaktor Antoni Sadzewicz przemówił w imieniu przyjaciół z Warszawy, wręczając zarazem dar ich w postaci cennego, pięknego kałamarza. Odczytano też szereg nadesłanych listów i depeesz, między innymi od pp. Romana Dmowskiego, Zygmunta Balickiego, posłów demokratyczno-narodowych z Kół polskich w Petersburgu i t. d. Biesiada w serdecznym nastroju przeciągnęła się do późna“.

Jubileuszu tego nie można jednak uznać w żaden sposób za sprawę osobistą ani p. Hłaski, ani jego najbliższych przyjaciół i znajomych.

Długoletnia, niezmiernie pracowita praca dzisiejszego redaktora „Kurjera Litewskiego“ nie miała bynajmniej na celu dostarczenia środków materialnych, zdobycia stanowiska w społeczeństwie. Tego p. J. Hłasko, syn zamożnej rodziny ziemiańskiej z Połockiego nie potrzebował. Za to drogie mu były ponad wszystkie inne, sprawy Ojczyzny. Jej służył on gorliwie, nie szczędząc żadnych trudów, ofiar i mienia. Dlatego 25-ta rocznica tej pracy nie powinna być uroczystością szczupłego grona przyjaciół — obchodzi ona w równej mierze cały naród.

W grudniu 1888 roku dzisiejszy Jubilat rozpoczęła swą pracę dziennikarską w redakcji warszawskiego tygodnika „Głos“, razem z nieżyjącymi już dzisiaj Janem Popławskim i I. K. Potockim. Pismo to kładło fundamenty dla późniejszej organizacji stronnictwa

demokratyczno-narodowego, które w chwili obecnej posiada bardzo poważne wpływy we wszystkich dzielnicach dawnej Rzeczypospolitej. Wiele z tych myśli, które uzasadniał i bronił „Głos“ padło na żyzny grunt i wydało plon obfity.

Pismo to wyznawało przekonanie, że naród wywalczyć sobie może lepszą przyszłość tylko własnymi siłami, a nie zaskarbianiem łaski obcych potęg. Na lud wskazywano, jako na siłę, która zdolna jest dokonać zmian korzystnych w położeniu Ojczyzny naszej. W tym celu podjęto trudną pracę nad uświadomieniem narodowym szerokich mas ludności włościańskiej. Należy jeszcze wspomnieć, iż kierunek demokratyczno-narodowy dowodził, że polityka polska powinna być zgodna we wszystkich dzielnicach i zmierzać do jednego celu: poprawienia doli naszego narodu.

Niedługo jednak trwała praca p. Hłaski w „Głosie“. Po więzieniu i dwukrotnym zesłaniu, raz na Syberję, drugi — do gubernii wołogodzkiej, przeniósł się dzisiejszy Jubilat do Lwowa, gdzie już wówczas był Popławski i tworzyło się ognisko myśli demokratyczno-narodowej. Tutaj p. Hłasko pracował w świeżo założonym piśmie „Wiek dwudziesty“, pierwszym

dzienniku tego nowego kierunku politycznego; następnie został redaktorem „Słowa Polskiego“, kiedy ono przeszło na własność stronnictwa i „Wiek dwudziesty“ zwinęło.

W roku 1906 p. Hłasko przyjechał do Wilna i objął redakcję „Gońca Wileńskiego“. Od roku 1911 jest redaktorem utworzonego z dwóch dzienników „Kurjera Litewskiego“.

Owocną pracą Jubilata na Litwie trwa dopiero lat siedem. Życzymy Jemu z całego serca, aby w najlepszym zdrowiu i bardziej przyjaznych okolicznościach obchodził tu między nami, w Wilnie 25-tą rocznicę pracy swej na gruncie litewskim.



Redaktor Józef Hłasko.



Wyprawa kapitana Scotta.

(Dokończenie).

Scott stara się możliwie najszybciej posuwać się naprzód. Jednak cała przyroda sprzysięgła się przeciw niemu, jakby zwyciężony biegun chciał pomścić swoją zniewagę. Temperatura, która na centralnej wyżynie, na wysokości dziewięciu tysięcy stóp, wynosiła 20 do 30 stopni poniżej zera, teraz na „Wielkiej Zaporze“ czyli znacznie niżej, spada do 47 stopni mrozu. Na domiar złego jeden z członków karawany, Oates, odmraża sobie ręce i nogi. Pochód znów doznaje zwłoki, gdyż Oates na swych zbolących nogach nie może iść zbyt szybko, lub też zmuszony jest korzystać z pomocy swych towarzyszków i pozwolić się ciągnąć na saniach. Mimo próśb, aby go pozostawili, a sami szybciej podążyli naprzód, dzielni Anglicy nie myślą opuścić towarzysza w nieszczęściu. Lecz Oates też był mężnym człowiekiem. Widząc, że cała wyprawa jest przez niego narażona na zgubę, postanowił uwolnić ją od swej osoby. Wyszedł więc w nocy z namiotu i nie wrócił doń. Co się z nim stało, niewiadomo, lecz łatwo to sobie wyobrazić. Przeszedł kilkaset kroków, kołysząc się na swych zbolących i poranionych nogach, potknął się o jakąś grudę śniegu, padł i nie wstał więcej; śnieg otulił go białym całunem, a wicher podbiegunowy pieśń pogrzebową odśpiewał. I teraz gdzieś tam daleko, w krainie nocy i śniegów, śpi snem wiecznym.

Pozostałych trzech stara się iść jaknajprędzej. Niestety, są osłabieni ogromnie. Trudny tyłu miesięcy, oraz brak dobrego odżywiania, daje się silnie odczuwać. Mimo najszczerzych chęci szybkiego powrotu do domu, są doby podczas których nie mogą przejść więcej, nad 4 wiorsty. Wreszcie zaczyna się brak żywności: mają jej tylko na dwa dni jeszcze, a nafty na przygotowanie jednego gorącego posiłku.

Lecz nie tracą odwagi. O 20 wiorst od nich leży ogromny skład żywności, „One Ton Camp“, gdy więc doń dojdą, będą uratowani.

Dziwną jest ironja losu! W tak niewielkiej odległości od zbawczego składu, zrywa się dnia 21 marca olbrzymia burza śnieżna i zmusza podróżnych do zatrzymania się. Trudno sobie wyobrazić taką burzę, o jakiej najstraszniejsze nasze zawieje najmniejszego nie dają pojęcia; to też Anglicy nadali jej specjalną nazwę „blizzard“. Wicher wieje z tak wściekłą siłą, że nietylko kroku naprzód zrobić nie można, ale niema mowy nawet o utrzymaniu się na nogach. Śnieg w jednej chwili zasypuje oczy, uszy, nos, usta, tak że tchu złapać nie można. Podczas takiej burzy jedynym ratunkiem jest schowanie się do namiotu i oczekiwanie uspokojenia rozpetanych żywiołów.

Gdyby burza nie trwała więcej nad dwa dni, Scott i towarzysze byłiby uratowani. Lecz burza szalała dni dziewięć. Po dwóch dniach wszystkie zapasy zostały zjedzone, trzeciego żuli jeszcze suche liście herbaty, czwartego nie mieli już nic. Po czterech dniach widzieli już wyraźnie, że gdyby nawet burza ustała, nie starczyłoby już im sił aby się dowlec do „One Ton Camp“. Śmierć stała przed nimi i spokojnie patrzyła na ich męki, na konanie z głodu i zimna. Najstraszniejszą była, zapewne świadomość, że tuż obok nich, w odległości 20 wiorst zaledwie, leży w bród żywności i nafty. W takiej chwili, gdy każdemu niemal cisnęłyby się na usta przekleństwa na ironję losu, pisze Scott swój wiekopomny list do narodu angielskiego, list prosty i szczerzy, a tak wielki w swym spokoju, że stawia tego skromnego kapitana w szereg największych bohaterów ludzkości.

Umierając z głodu i mrozu, zdala od świata ucywilizowanego, od kraju, od przyjaciół i rodziny, patrząc na męki i śmierć swych dwóch towarzyszy, których szczerze kochał. Scott stara się przedewszystkiem usprawiedliwić. Boi się, że tam, w ojczyźnie mogą mu zarzucić, że jego wyprawa nie spełniła swego zadania, że zawiodła pokładane w niej zaufanie, że plon jej naukowy będzie mniejszy, aniżeli innych podobnych wypraw. Zaiste Scott mógł się tego nie obawiać. Ludziom, którzy, nie zważając na zwłokę, ciągnąc na sankach chorego towarzysza, dla



Scott na nartach.



Towarzysze wyprawy Scotta po przyjęciu u króla angielskiego opuszczają pałac, gdzie zostali odznaczeni za trudy i ofiary w podróży.

których każda chwila stracona groziła śmiercią, mieli odwagę zatrzymać się u stóp gór, aby zbierać próbki skał i skamieliny, i którzy mimo osłabienia ciągnęli aż do ostatniego etapu przeszło 100 funtów tych kamieni, o których znakomity badacz francuski Charcot powiedział, że są one „cenniejsze dla nauki, aniżeli najkosztowniej-sze djamenty“, ludziom tym nikt nie powazyłby się podobnego zarzutu stawiać.

W dalszym ciągu listu wyjaśnia Scott przyczyny katastrofy. Kończy wreszcie list słowami następującymi:

„Jesteśmy osłabieni; trudno mi utrzymać pióro w ręku, lecz ja ze swej strony nie żałuję tego przedsięwzięcia, wykazującego, że Anglicy umieją jeszcze tak, jak niegdyś, przechodzić przez ciężkie próby, pomagać sobie wzajemnie i z odwagą patrzeć w oczy śmierci.

„Ryzykowaliśmy, lecz wiedzieliśmy z góry, że ryzykować będziemy. Okoliczności zwróciły się przeciwko nam, nie należy się więc skarżyć, lecz podać się wyrokom Opatrzności, która najlepiej wie czego nam potrzeba. Jeżeli jednak dobrowolnie oddali życie w tym przedsięwzięciu, to uczyniliśmy to dla chwały naszego kraju. Zwracam się więc do mych rodaków z prośbą o czuwanie nad tymi, dla których my byliśmy podporą; niech nie zostaną opuszczeni.

„Gdybym żył, umiałbym opowiadać dzieje odwagi i wytrwania mych towarzyszy, któreby poruszyły serce każdego Anglika.

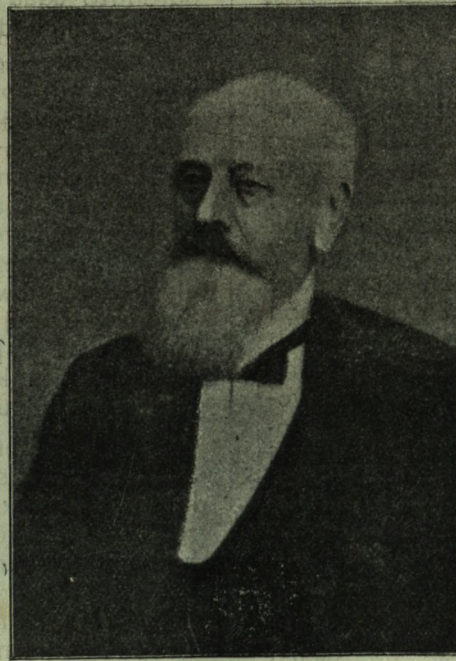
„Te niezdarne notatki oraz nasze ciała opowiedzą te dzieje. i jestem pewnym, że tak wielki i bogaty kraj, jak nasz, zaopiekuje się tymi, których my na tym świecie pozostawimy“.

Ani słowa żalu lub skargi, ani słowa rozpacz. Zmarli z głodu i zimna, ciała ich przysypał śnieg, lecz historia nauki zapisała ich imiona, opromienione bohaterską śmiercią.

* * *

Gdy Scott nie wracał, załoga pozostawiona w domu na przylądku Evansa zaczęła się niepokoić. Próbowano kilka razy wyjść naprzeciw, jedna z wypraw dotarła nawet aż do „One Ton Camp“, lecz burze i mrozy nie pozwoliły dalej się posunąć.

Dopiero następnego lata, w osiem miesięcy po śmierci Scotta, namiot jego wraz z ciałami został odnaleziony przez wyprawę pomocniczą. Zbiory naukowe,



Franciszek Smolka.

instrumenty, a przede wszystkim notatki zostały ze czcią zebrane, nad ciałami zaś bohaterów, owiniętymi w płótno namiotu, wzniesiono grobowiec śnieżny, na szczycie którego zatknięto prosty krzyż, zrobiony z dwóch skrzyżowanych nart.

* * *

Angja na wieść o tej tragicznej śmierci okryła się żałobą. W dniu, w którym za zmarłych odprawiono nabożeństwo, w całej Anglii, jak długa i szeroka, nie było wcale lekcji w szkołach, a na ich miejsce urządzono odczyty o wyprawie Scotta. Fabryki wszystkie przerwały pracę na czas nabożeństwa. W ciągu kilku dni zebrano drogą składek przeszło pół miliona rubli dla rodzin zmarłych członków wyprawy.

R.

□□□□□□□□□□

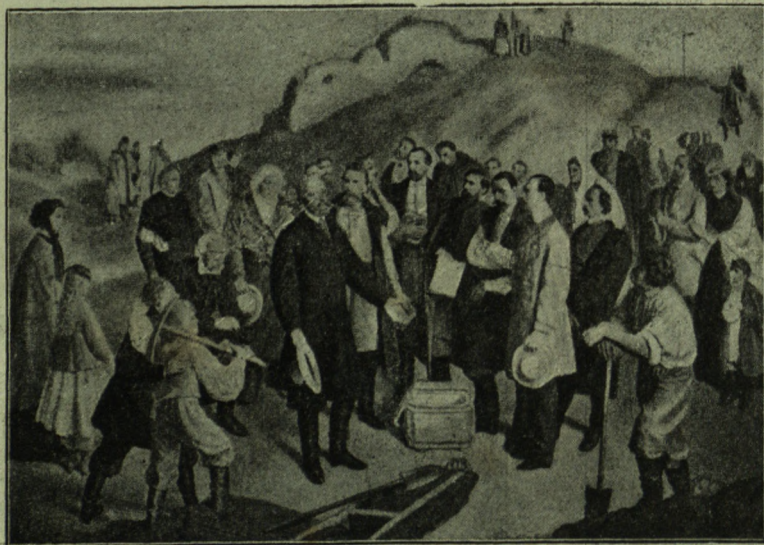
Franciszek Smolka.

W tych dniach odsłonięto we Lwowie pomnik, wzniesiony ku uczczeniu pamięci Franciszka Smolki. A pamięć o nim jest żywa i wdzięczna. Nie sposób opisać w kilkunastu lub kilkudziesięciu wierszach długiego, bo od 1810 do 1899 roku trwającego, czynnego i ofiarnego życia Smolki, wykazać jego zasługi.

Przyzwyczajiliśmy się uważać Galicję za dzielnicę, gdzie życie polskie jest najbardziej bujne, najmniej skrupowane, gdzie w naszych rękach mamy zarządku kraju, oświatę i t. p. Rzadko zastanawiamy się, a nawet nie wszyscy wiemy, jaką drogą i kiedy zapanowały, te nadmiernie zazwyczaj wychwalane, stosunki. Po rozbiorach dzielnicę polską pod panowaniem Habsburgów poczuła ciężką rękę. Dawały się mocno we znaki rządy Niemców, przysyłanych z Wiednia, którym bynajmniej nie leżała na sercu potrzeba za-

spokojenia dążeń naszego społeczeństwa. W szkołach niższych, średnich i wyższych panowała niemieczyzna, młodzież polską chciano przekształcić na austriaków. Jednym z naczelnych zadań polityki austriackiej w stosunku do Polaków było rujnowanie materialne szlachty polskiej, i osłabianie jej wpływów.

Gorliwie pracowano nad tem, by lud zatracił świadomość narodową zupełnie, by nie szukał spójni z innymi warstwami społeczeństwa polskiego. Nie cofano się przed niczem, wyznaczono np. w 1846 roku, upamiętnionym rzezią galicyjską, opłatę dla chło-



Franciszek Smolka przemawia przy zaczęciu robót koło sypania kopca Unji Lubelskiej we Lwowie.

pów za zabójstwo szlachcica polskiego.

Jednym z najdzielniejszych bojowników o usamodzielnienie krajów, znajdujących się pod berłem Habsburgów był Francisek Smolka.

Pracę społeczną nad podniesieniem ekonomicznym kulturalnym ludu rozpoczął Smolka w roku 1834, jako członek tajnej organizacji „Przyjaciel ludu”, mający tak wybitnych towarzyszy jak wielki historyk Karol Szajnocha, poeta Wincenty Pol. Pomimo trudności materialnych i wielu innych przeszkód pracował Smolka w tej organizacji w ciągu sześciu lat. Pracę przerwało aresztowanie i uwięzienie trwające 3 i pół roku.

Więzień zamknięty w samotnej celi u Karmelitów we Lwowie miał przed sobą tylko jedną drogę—na śmierć, gdyż taki otrzymał wyrok. Na szczęście, cesarz wyrok nie zatwierdził.

Wobec tego, zaliczając kilkuletnie więzienie śledcze za karę — niebawem wypuszczono Smolkę na wolność, oddano jednak pod ścisły dozór policyjny i zabroniono prowadzić kancelarię adwokacką, co czynił przed uwięzieniem.

Rok 1848, rok nadziei i walki o zmianę rządów wysunął znowu Smolkę na arenę polityczną. Potrafił on odrazu stanąć na czele dzięki swej odwadze, doświadczeniu, zaletom charakteru i zdolnościom politycznym. Dla Galicji żądał Smolka prawnoparłamentowego usamodzielnienia z własnym sejmem i odpowiedzialnym ministerjum. W tym czasie brał on bardzo żywy udział w pracy przy utworzeniu Rady narodowej we Lwowie, był kierownikiem polityki polskiej w pierwszym, nowo utworzonym parlamencie wiedeńskim. Smolce też przypadła trudna i zaszczytna rola prezesa w parlamencie, który wtedy trzymał berło władzy najwyższej w stolicy.

Tutaj wykazał całą siłę swego charakteru i niepospolite zalety umysłu w obronie stanowiska konstytucyjnego i godności parlamentu.

Po abdykacji Ferdynanda witał Smolka młodego następcę, cesarza Franciszka Józefa w Ołomuńcu. Gdy ucihła burza i monarchja weszła na nowe, konstytucyjne tory, pracował Smolka głównie w Sejmie, w którym zasiadał bez przerwy do końca życia.

Praca polityczna i charakter Smolki mają dla Polaków olbrzymie znaczenie.

Pod berłem absolutnych rządów austriackich rozwinął on sztandar konstytucyjny, a zarazem wykazał ludom Austrii i Europy, że Polacy zdolni są do samodzielných, parlamentarnych rządów, że nie zatracili zmysłu państwowego.

Ten wielki polityk, mąż stanu, przy pomniku którego wygłosili mowy ministrowie i posłowie niemieccy, głosem pełnym głębokiej miłości i wiary w zwycięstwo dowodził, że dawna Rzeczpospolita Pol-

ska, chociaż wykreślona z rzędu państw samodzielnych żyje pełnym życiem w gronie narodów, że prawa narodowe nie podpadają żadnemu przedawnieniu, że naród nasz nigdy nie zaparł się odrębności historyczno-politycznej i narodowej. W to wierzył, tak przekonywał innych Smolka w roku 1868. Miejmy i my te słowa jego w pamięci nie tylko od święta ale i na codzień, a napewno niejednym czynem, niejedną myślą naszą inną, bardziej społeczną i polską pójdzie droga.

▷○○○○○○○○◁

Otwarcie teatru w Poniewieżu.

W ubiegłą niedzielę Poniewież był widownią niezwyklej uroczystości. Otwarto tu bowiem gmach teatralny, z którego mają korzystać miejscowe stowarzyszenia dramatyczne.

Inicjatorem i twórcą tego dzieła jest p. Stanisław Montwill, który nie szczędził kosztów, ani też trudów, byle tylko urzeczywistniona była w tej sprawie jego myśl przewodnia.

I oto w ciągu kilku miesięcy stał się bardzo gustowny budynek teatralny, obliczony przeszło na 400 osób z ruchomą podłogą, dość obszerną sceną, oraz odpowiednimi pomieszczeniami. Teatr oświetla się elektrycznością, dostarczaną przez pobliską fabrykę.

Piękny z teatru widok się roztacza z jednej strony na wijącą się srebrzystą toń Niewiaży, z drugiej zaś na miasto, które w zestawieniu z innymi powiatowymi miastami Litwy, zajmuje poważne miejsce.

W dniu uroczystym otwarcia teatr zapełnił się wyborową publicznością zaproszoną przez p. S. Montwilla. Przedstawiciele miejscowych instytucji kulturalno-społecznych w przemówieniach swych podnosili tą wielce doniosłą chwilę w życiu Poniewieża. Od tej chwili bowiem rozpocząć się ma zgodna praca w dążeniach ku pięknu i szczytnym ideałom—pracy na polu artystycznym.

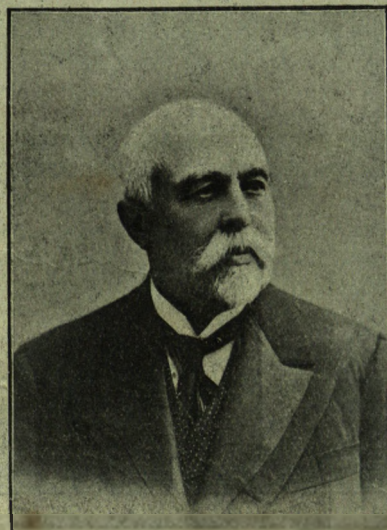
Z ramienia polskiego towarzystwa dramatyczno-muzycznego, przemówił p. Karol Ryglewicz, ujmując za temat przysłowie staropolskie: „Zgoda buduje gmachy—niezgoda rujnuje fundamenty”. Na każde przemówienie odpowiadał p. Stanisław Montwill.

Program widowiska obejmował, między innymi numerami barwną sztukę jednoaktową F. Dominika „Wesele Zosi”, odegraną starannie przez członków poniewiejskiego Towarzystwa dramatyczno-muzyczno-spiewaczego. Na wyróżnienie zasługują: pp. Urbanowiczówna (Zosia), Ryglewiczowa (matka), Ryglewicz (Walek), Grodziński (wuj) oraz Römer (Antoś). Na zakończenie sztuki odtąńczono z życiem i werwą krakowiaka i mazura, wywołując entuzjizm publiczności.

W życiu Poniewieża na szczególną uwagę zasługuje T-wo



Tablica pamiątkowa ku czci Franciszka Smolki.



Stanisław Montwill.

dramatyczno - muzyczno - śpiewacze. Działalność tego towarzystwa polega w głównej mierze na opracowaniu i wystawianiu sztuk z repertuaru swojego. Z pomiędzy utworów, wystawionych staraniem towarzystwa, wyróżnić należy: „Lenę“ Jasińczyka, „Karpackich Górali“ i „Okrężne“ Korzeniowskiego, „Sobkową Zagrodę“ Błotnickiego, „Sąsiadkę“ Jaroszyńskiego, „Harde dusze“ Orzeszkowej i wiele innych.

Członków towarzystwo liczy 120. U steru tej instytucji stoją niezmordowani i pełni poświęcenia pp. Karol Ryglewicz i Marja Urbanowiczówna.

Z.

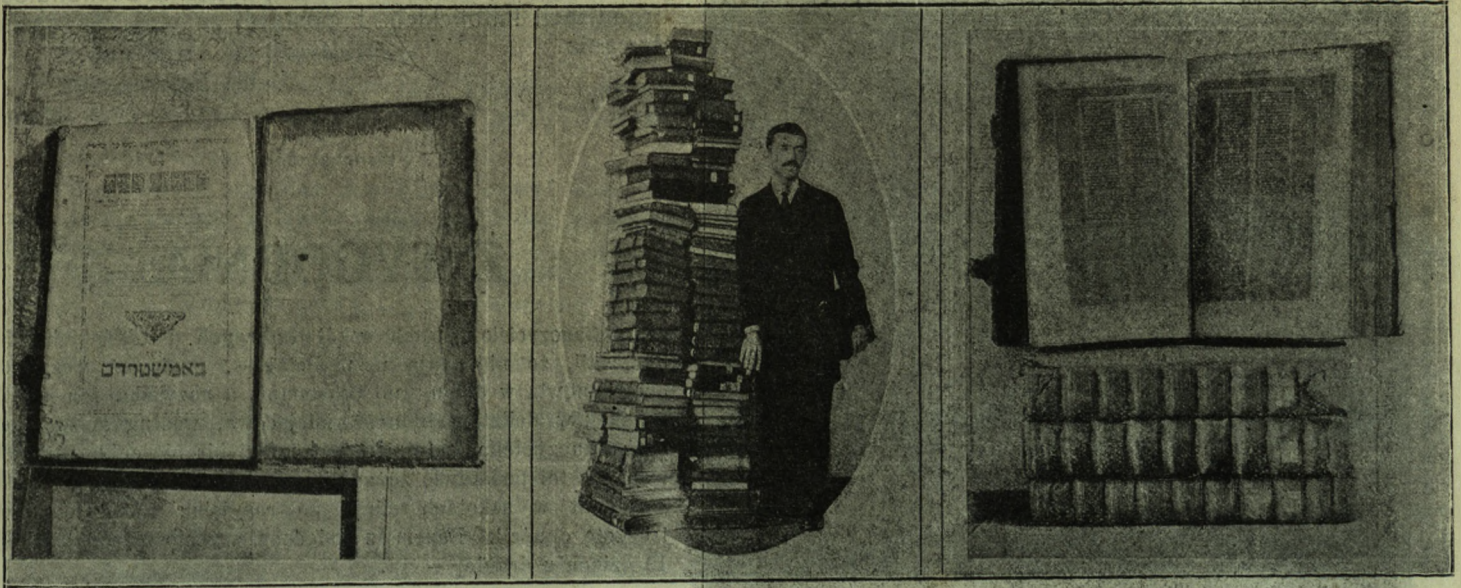


Gmach nowego teatru w Poniewiezu.

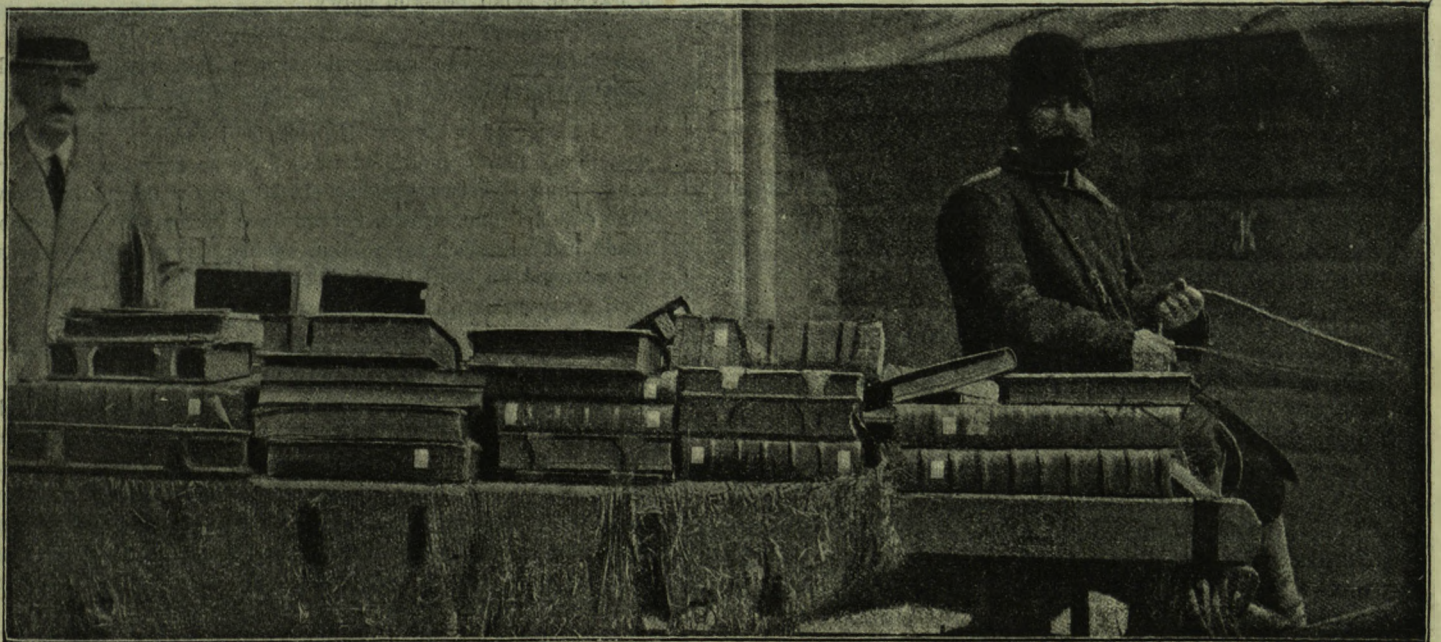


Towarzystwo dramatyczne, muzyczne i śpiewacze w Poniewiezu.
Grupa osób, biorących udział w przedstawieniu „Hardych dusz“ E. Orzeszkowej.

Stare księgi żydowskie, przedstawione na sąd ku obronie Bejlisa od zarzutu udziału w mordzie rytualnym.



Z lewej i prawej strony biblja z wyjaśnieniami, wydana w Amsterdamie w 1774 roku; po środku cały stos różnych ksiąg.



Przewożenie starych ksiąg żydowskich do sądu na sprawę Bejlisa.

„Nasza Niwa” o Polakach.

Niejednokrotnie w pismach polskich zwracano uwagę na to, że „Nasza Niwa” przedstawia zawsze Polaków w jak najgorszym świetle. Od zarzutów tych broniło się zawsze piśmienko białoruskie zaprzeczeniem. Obecnie w numerze 48, który ma być okazowym, znajdujemy takie porównanie Polaków z Białorusinami, Ukraińcami i Rosjanami, zrobione przez p. Uściłowicza:

„Białorusin pracuje, jak Niemiec; w rozmowie jest niczem Anglik; przy stole zachowuje się jak słowianin; a w całym życiu, jako człowiek rozważny i łagodny, może pogodzić się ze wszystkimi.

Ukraińiec, wesóły i żwawy „parobek”, jest trochę leniwy do roboty; ale jak artysta zdolny do pracy twór-

czej. Czasami bywa on tęsknie zamysłony i głęboko filozoficzny.

Wielkorus — wesóły, gaduła, rezolutny przy spotkaniu, niedbały w robocie, zdalny do bójek i handlu.

Polak — lekkomyślny, fałszywy, chytry. Lubi błyszczyć i udawać pana, najmniej demokratyczny naród pośród słowian”.

Oczywiście te sądy wszystkie p. Uściłowicza nie są warte funta kłaków: dla białorusinów wysadził się autor na same pochwały, ukraińców przedstawił w świetle nienajgorszym, u wielkorusów dostrzegł jeszcze niektóre strony dobre, na Polaków za to zwalił wszystkie wady. To nas bynajmniej nie boli: niech sobie p. Uściłowicz, co chce myśli o Polakach. Chcemy tylko jeszcze raz stwierdzić, że „Nasza Niwa” pracuje stale nad zohydzeniem naszego narodu wśród swych czytelników.



W Barrow odbyło się opuszczenie na wodę z warsztatów okrętowych najnowszego, olbrzymiego pancernika angielskiego „Emperor of India” (Cesarz Indji.)

Listy z zagranicy.

Monachium 15(2) grudnia 1913 r.

Dzisiaj do Monachium przybył w celu złożenia wizyty królowi bawarskiemu cesarz niemiecki Wilhelm II Wywłaszczyciel. Miasto wydało 200,000 marek na udekorowanie ulic. Lecz fatalna pogoda całą uroczystość zepsuła. Od rana pada śnieg z deszczem, każdy więc w domu siedzieć musiał i przyjęcia zbyt szumnego nie było. Niektórzy właściciele domów nie chcieli swych posiadłości przyozdabiać na przyjęcie „prusaka” oprócz tego gusta dekoracyjne Niemców nie są do pozazdroszczenia. Poustawiano wiele kolumn ozdobionych wieńcami jodłowymi, pozawieszano wiele innych oznak, które czynił wrażenie uroczystości... pogrzebowych. Ha, trudno, co kraj, to obyczaj!

W dniu 14(1) grudnia obchodzono tutaj 100-letnią uroczystość urodzin X. Adolfa Kolpinga, założyciela olbrzymiej organizacji czeladników katolickich (Gesellenverein). Organizacja ta liczy obecnie 137,000 członków z kapitałem około 40 milionów marek! Uroczystość odbyła się niezwykle wspaniale. Szczególniej imponująco wyglądał pochód czeladników do katedry monachijskiej na uroczyste nabożeństwo. Kilka tysięcy rękodzielników maszerowało pod takt swoich orkiestr ze sztandarami. Na czele każdego związku szedł „prezes”, którym zwykle bywa ksiądz katolicki. Gromady ludu przyglądały się temu z ciekawością.

Wogóle Niemcy słyną ze swych organizacji społecznych. Można im odmówić wielu przymiotów, ale zmysłu gospodarczego nie odmówi im nikt. Szczególną sprężystością i umiejętnością w gospodarowaniu odznaczają się związki katolickie. Słyszałem w uni-

wersytecie wykład profesora Brentano, który chociaż jest liberałem, wszelako uznał publicznie doskonałość organizacji katolickich i postawił za wzór do naśladowania.

X. W. Szytkiewicz.

Z TYGODNIA.

Nauczyciele dwóch szkół Indowych bezdańskich zdecydowali, że nie mają uczeni Polaków, ponieważ wszystkie dzieci mówią w domu „po prostemu”, a nazwiska ich są litewskie; w dodatku ludność miejscowa, według spostrzeżeń tych nauczycieli, chętniej śpiewa rosyjskie piosenki, niż polskie. Na tej podstawie zażądali oni od kapelana, by nadal wykładał w szkołach religję po rosyjsku. Ksiądz odmówił i szkołę opuścił. Razem z księdzem wyszło z jednej szkoły 19 dzieci, z drugiej — 18.

Wszystkie te zatargi powinny nauczyć nas, że kto jest Polakiem, i chce, aby dzieci jego uczyły się religii w szkole po polsku, musi przestać rozmawiać ze swoimi „po prostemu”, a używać tylko polskiej mowy.

Ponieważ nawet piosenki, śpiewane w obcym języku, świadczą przeciwko nam, nie trzeba lekkomyślnie szkodzić własnej sprawie.

Samorząd miast w Królestwie Polskiem, znów według wszelkiego prawdopodobieństwa odwlecze się na czas nieokreślony. Rada Państwa większością 20 głosów odrzuciła, uchwalone przez Dumę, prawo, zezwalające przemawiać na zebraniach rad miejskich po polsku. Wobec tego projekt samorządu powędrował do komisji pojednawczej, złożonej z 7 przedstawicieli Rady Państwa i 7 — Dumi.

Koła polskie posłów do Dumy i Rady Państwa na zebraniu wspólnem uchwałyły co następuje:

„Przedstawicielstwo polskie w Dumie państwowej i Radzie państwa w pełnym składzie, rozważywszy sytuację, wytworzoną przez zmianę w Izbie wyższej artykułu o języku w projekcie samorządu miejskiego w Królestwie Polskiem, postanowiło nalegać wszelkimi dostępnymi sposobami na przywrócenie tekstu pomienionego artykułu w redakcji Dumy państwowej; w razie niepowodzenia zaś, dążyć wszelkimi środkami do odrzucenia całego projektu”.

Ponieważ 7 przedstawicieli Rady Państwa będzie w komisji pojednawczej obstawało przy swoim, a delegaci Dumy też, pewno nie ustąpią, projekt samorządu miast w Królestwie Polskiem zostanie odrzucony.

500.000 koron „łapówek” wzięł od rządu austriackiego znany przywódca ludowców galicyjskich p. Jan Stapiński. Na zjeździe rady naczelnej stronnictwa ludowego w Rzeszowie minister Długosz, były członek tego stronnictwa, wykazał szczegółowo ile, kiedy i od kogo brał Stapiński. Tak polityk, który zamiast pilnować interesów narodowych, występuje się za pieniądze obcym rządowi, powinien spotkać się z potępieniem surowym całego ogółu polskiego. Tymczasem na zjeździe w Rzeszowie, gdzie Stapiński zgromadził najciemniejszych i ślepo oddanych sobie chłopów, nagana spotkała właśnie tych, co wykazywali zbrodnię Stapińskiego; a temu zręcznemu oszustowi uchwalono wyrazy zaufania.

Nie znaczy to jednak, aby lud cały tak pobłażliwie traktował nikczemne sprawki p. Stapińskiego. Ale ciemnoty w Galicji jeszcze nie brak.

Wiadomości bieżące.

— O usunięciu ks. Czarniawskiego.

Ministerjum spraw wewnętrznych zażądało usunięcia księdza dziekana Czarniawskiego z Wilna i pow. wileńskiego.

— Lekcje religii.

W gimnazjum mińskim dwóch uczniów zostało ukaranych za to, że nie chodzili na lekcje religii katolickiej w języku rosyjskim.

Rodzice pomimo to oświadczyli stanowczo władzy szkolnej, że na naruszenie prawa, t. j. woli Monarszej i cyrkularza ministra Kasso nie pozwolą pod żadnym pozorem i wnoszą przeciwko postępowaniu dyrekcji mińskiej skargę do władz wyższych.

Rodzice, nie godzący się z narzucaniem dzieciom ich przez władze szkolną obcych narodowości, wnoszą nadto skargę do J. E. ks. arcybiskupa przeciwko kapelanowi ks. Micewiczowi, który wbrew cyrkularzowi arcybiskupa, wykłada religję po rosyjsku dzieciom tych rodziców.

— Zmiana religii.

Minister Maklakow wydał okólnik o obowiązkach policji przy przeprowadzaniu badań w sprawach zmiany religii, a mianowicie porzucenia chrześcijaństwa i odcłagania od religii prawosławnej. Dochodzenia karne dotychczas wszczynane były na żądanie władzy duchownej. Obecnie ustanowiony został ogólny tryb dochodzenia karnego. Policja na przyszłość ma stosować do spraw tego rodzaju ogólne normy i z własnej inicyjatywy wszczynać dochodzenia.

▷○○○○○○○○◁

Od Redakcji.

Do pisma naszego wprowadziliśmy dział grafologiczny, t. j. określanie charakteru z pisma. Dział ten jest prowadzony przez członka Towarzystwa grafologicznego w Paryżu i Monachjum, p. Jean de Roché za opłatą 30 kop. za każdą ocenę.

Rękopisy do oceny winne być przesyłane do redakcji. Nie należy pisać na papierze linjowanym. Treść, w języku polskim trzeba układać samodzielnie, nie przepisywać. O ile ktoś nie chce, by wymieniano pierwsze litery nazwiska, niech podpisuje pseudonimem.

Oceny grafologiczne.

— „Nie pewnemu“. Zdolności są wcale niezłe, i przy pracy, pobudzonej ambicją i dużym zasobem miłości własnej można dojść do dobrych rezultatów; należy jednak każdą rzecz przejść systematycznie od początku do końca, nie opuszczając i nie licząc na to, „że to już jest mi wiadom“.

Co się dotyczy stopni naukowych, to dojść można; czemu nie? tylko należy ściśle systematyczność w pracy zachować i gruntownie, a wszechstronnie każdą rzecz zbadać.

Co do zapytania o narodowość, to jak wiadomo, określa się ona przy pomocy mowy, którą za ojczystą uważamy, a także na zasadzie typu; otóż co do pierwszego pewnika — narodowość polska, co zaś do drugiego zasady — typ bardziej południowy — włoski, ale już zmodyfikowany. Ostatecznie wsłanknięcie w warunki i obyczaje polskie, tak iż można twierdzić, że narodowość polska.

Siła woli nie jest tak wielka, by na niej można było się opierać, ale za to zastępuje powyższą ambicją i silnie rozwiniętą miłość własną, która nie pozwala pozostawać poza innymi.

Usposobienie żywe, wesole. W postępowaniu i w słowach ostrożność. Umiejętność wyszła nawet z najtrudniejszego położenia dzięki wielkiej przezorności i ostrożności. Indywidualizm silnie rozwinięty wskutek czego nieuznawanie autorytetów.

!! Najwygodniejsze źródło zakupu !!

DLA TOWARZYSTW SPÓŁDZIELCZYCH
i HANDLI PROWINCJONALNYCH.

Kalendarze, pocztówki świąteczne i inne. Ołówki Majewskiego, atrament Leszczyńskiego i wszelkie artykuły piśmienne po cenie hurtowej

POLECA

W. BORKOWSKI w WILNIE,

Ś-to Jerska 5. Telefon 14-06.

Ś-to Jańska 19. Telefon 5-88.

!! NA GWIAZDKĘ !!

ZOFJA BARSZCZEWSKA

NAJWIĘKSZY CHRZEŚCIJAŃSKI SKLEP
ZABAWEK.

ul. Wielka № 3.

Stale nowości.

Uwadze składów aptecznych i Stowarzyszeń

POLECA SIĘ

HURTOWNIĘ

perfumerji, kosmetyki i galanterji
tualetowej

W. DOBROWOLSKI i S-ka

Warszawa, Chmielna 27.

Posiada wszelkie artykuły krajowe i zagraniczne.

K. GORZUCHOWSKI

ul. Wielka № 9.

BRYLANTY. □ ZŁOTO. □ SREBRO.

ZEGARY i ZEGARKI w wielkim wyborze.

ŻYCIE wasze, **POSAGI** dla dzieci,
UBEZPIECZAJCIE

w jedynym **POLSKIM**, opartem
na wzajemności, T-wie

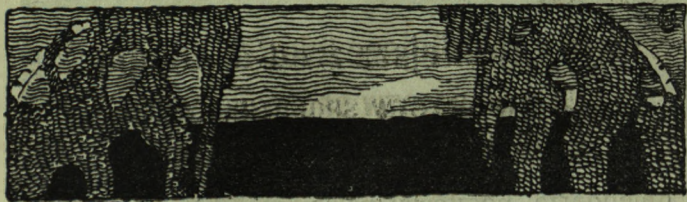
Ubezpieczeń
na tanich i dogodnych
warunkach

Ubezpieczenia
mogą być zawle-
rane już od Rb. 100
aż do 300 tysięcy. Składka
miesięczna od 17 kopiejek.

Z sumy przeznaczanej na dywi-
dendę ubezpieczeni otrzymują 70%
Wszelkich informacji szczegółów, udziela
bezpłatnie Biuro Głównej Reprezentacji na Litwie
Zmudz i Rus: WILNO, Botaniczna 1.

Zarząd. Okręg. JÓZEF KOROLEC. Poszukiwani są ajenci.

„PRZEZORNOSC“



BOLESŁAW PRUS.

Na pograniczu.

(Ciąg dalszy)

— Nauczyłeś ich zagranicznego handlu.

— Zagraniczny handel co innego, a biedny, stary ojciec co innego! — mruzczał paralytyk. — Mogli mnie poprosić, a nie tak jak rozbójnicy, ponieważć po podłodze. Mało mi pierzyny nie podarli.

Żona machnęła ręką, widząc, że Josek, z powodu nieszczęsnej choroby swojej, był przesadnie drażliwy.

Wieść o spotęgowanej czujności nad granicą, obiegłszy wszystkich żydków, trafiła w końcu do kancelarii gminnej. Ktoś, przechodzący tamtędy, wsadził głowę w okno i wrzasnął:

— Kotrabandy szukają!

W kancelarii siedział pisarz i wójt. Pisarz figurka mała i ruchliwa, przeglądał papiery, a wójt, chłop siwy i krępy, opowiadał wesołe historje o tem, jak go niegdyś naczelnik przez omyłkę kijem obił.

— Ale okrzyk: „Kotrabandy szukają!“ — padł między nich, jak bomba. Wójt zbladł, nie rozumiejąc o co chodzi, ale w każdym razie domyślając się czegoś niezwykłego, a więc strasznego. Pisarz zaś zerwał się od stolika i wbiegł do pokoju żony, wołając:

— Ot, masz!... Szukają w mieście kotrabandy!... Chowajże teraz te sztuki jedwabiu w piec, albo do studni!... Narobiłaś mi kwasu twojemi znajomościami!...

Pani pisarzowa, ubrana w aksamitny kaftan i czarną rypsową suknię z długim ogonem, na razie oniemiała.

— Com ja ci narobiła?...

— Ano to, że przyjmujesz od szwarcowników kotrabandę do przechowania, a ja głową nałożę! Nie bój się, wiem ja o wszystkim! — mówił mąż.

Pani odzyskała energję.

— A któż to pierwszy wziął na przechowanie towary: ja czy ty? — zapytała gniewnie, ujmując się pod boki.

— Ja wziąłem raz i dlatego, żeby tobie sprawić jedwabną suknię, której ci się zachciało — odparł mąż. — Przez twoją głupią ambicję mogę miejsce stracić... marnie zginać!...

Pyzata twarz pani oblała się ciemno-burakowym rumieńcem.

— Ty chamie jakiś!... ekonomiczny syu!... To ja mam głupie ambicje? — zawołała. — A ty już zapomnia-

leś, z jakiego ja domu pochodzę?... Tyś mnie chamie, w złotogłów powinien ubierać, proch za mną językiem zmiatać, zem ci zrobiła taką łaskę i za ciebie wyszła!...

Pisarz, zaatakowany z tej strony, utopił obie ręce we własnych naturalnie włosach i szybko wrócił do kancelarji, zatrzaskując drzwi. Ale pani nie dała za wygraną i przez dziurkę od klucza wołała:

— Toś ty zapomniał, że mój ojciec był obywatelom ziemskim, a stryj matki senatorem?... To ty już nie pamiętasz, jak mnie trzy lata temu, ten stary kolonista nazywał jaś-nie pa-nien-ką i mówił, że służył u nas za furmana!...

Pisarz pobiegł ku drzwiom, i nachyliwszy się do klamki, począł krzyżeć:

— Gadaj sobie gadaj!... Ja już zatkałem uszy i nic nie słyszę... Tra ta ta!... tra ta ta!...

Z tamtej strony kopnięto nogą we drzwi i zabębniiono w nie pięściami, poczem — głos dobrze urodzonej damy ucichł. Natomiast w kuchni wszczęły się hałasy i płacz służącej.

Pisarz był wzburzony. Potracił kałamarz i uderzył bokiem w kratę oddzielającą cywilną połowę kancelarji od urzędowej. Nareszcie wsadził ręce w kieszenie, zwiesił głowę na piersi i począł chodzić po izbie, mruzcąc:

— Czysta choroba z tą babą i z temi ciągłemi rewizjami!...

Wójt patrzył na niego, rozumiejąc jedno tylko, że jest—źle. Każde poszukiwanie kotrabandy i każdy przyjazd delegata powiatowego wprawiał pisarza w najgorszy humor i budził w nim myśli rozpaczliwe, co ogromnie trwożyło starego wójta.

Bodaj to superrewizja, albo zbieranie zaległych podatków! Wtedy pisarz miał inna minę, z żoną nie kłócił się i wójta nie straszył!...

— Panie pisarzu — odezwał się wójt.

— Ehe?...

— Co to będzie?

— A źle będzie! — odparł pisarz.

— Niby... komu?

— Rozumie się, że całej gminie. Tu jak zaczęją raz szukać kotrabandy, a znajdą co dobrego, to jedną naszą gminą wybrukują wszystkie kryminaly!

Wójt poruszył się.

— A cóż winna gmina, że kilkunastu z niej szwarcuje towary, a tam... kto przechowuje? Ma być taka wieczna zgryzota przez nich, to najlepiej zaskarżyć sprawców i tyle!...

Pisarz przybiegł do stołu i wytrząsając ręką, zawałał:

— O!... o!... o!... jeszcze czego? A czy to wójt nie wiesz, że jak się raz taka sprawa wyda, a oni kosztów nie zapłacą (bo skądby wzięli?) to my bekniemy wszyscy?... Wójtowi jeszcze nic — ciągnął dalej. — Sprzedadzą wam grunt, dom, resztę odsiedziacie najdłużej w ciągu roku, i jako człowiek stary będziecie mogli utrzymać się do końca życia z jałmużny. Ale ja co zrobię?... Żebrać przecie nie pójde.

Pisarz wiedział, w jaki sposób pocieszać wójta, bo starzec aż za głowę się schwyił.

— Matko Boska Częstochowska! — zawołał. — Ja mam zbierać na starą lata?... Mnie sprzedadzą grunt?...

— Takie prawol — rzekł lakonicznie pisarz.

Wójt aż spotniał.

— Cóż na to począć, gadajże pan? — pytał.

Pisarzowi błysnęły oczy.

— Co począć! — powtórzył. — Naprzód nie myśleć o żadnych skargach na nikogo, bo to jest głupstwo budzić djabła, kiedy śpi. A po drugie... Zaraz ja tu przyjdę...

Wyszedł do pokoju żony, coś z nią poszeptał i wrócił ze sporą paką pod ręką.

— Niech to wójt zanieś do siebie i trzymaj parę dni — rzekł oddając mu pakę.

Chłop wahał się.

— Niema się co namyślać! — zawołał pisarz niecierpliwie. — Wójta objęczyki mają za spokojnego człowieka, nie posądzają o nic i rewizji nie robią. A gdyby taka rzecz w kancelarji została, to mielibyśmy obaj!...

— Pocóżes pan to brał?

— Po co!... Albo ja brałem?... Przyszedł dziś w nocy jakiś gałgan i wrzucił mi pakę przez okno do pokoju. Oddam może objęczykom, to mnie szwarcownicy spalą, a zaskarżę — to na całą gminę nieszczęście spadnie!

Wójt, człowiek uczciwy i nawet rozsądny, który jednak na swoim urzędzie stracił umysłową równowagę, słuchając teraz dowodzeń pisarza, skołował do reszty. Niezupełnie mu wierzył, ale — bał się nie wierzyć. Bo co będzie, jeżeli pisarz mówi prawdę?... Pytać o wyjaśnienie podobnych subtelności prawnych niebardzo kogo wypada, a zaskarżyć niebezpiecznie.

Z własnej praktyki wiedział wójt, że do każdej sprawy wplątać można najniewinniejszych. Co zatem będzie, jeżeli jego wplączą do interesów szwarcunkowych? A co będzie, jeżeli w kancelarji znajdą kontrabandę?

Jak zwykle, tak i tym razem wójt stracił własny sąd i wolę i uległ pisarzowi. Nie bez trwogi wziął pakę towarów i opuścił z nią kancelarję. Idąc ku domowi, niespokojnie oglądał się na wszystkie strony, czy go kto nie śledzi. Ale, że każdy mieszkaniec osady był w tej chwili zajęty sobą, więc nikt go nie spostrzegł. Cały zatem i bezpieczny doszedł do chaty i oddał pakę żonie, z ostrzeżeniem, aby ją dobrze schowała.

Na jej zapytanie: co znaczy paka? — odpowiedział wszystko szczerze. Wtedy wójtowa poczęła mówić przejęta żalem.

(c. d. n.)



Historja o bladej dziewczynce

Z POD OSTREJ BRAMY

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy).

— Kocham ją, rzekł w sobie — tak jest — ale cóż z tego będzie. Mogę się z nią połączyć? mogę jej poświęcić świat, jego wymagania, jego prawa, krewnych, rodzinę, wszystko? kochaż mnie ona? Jeśli kocha, co za przyszłość? jaki koniec?

Na pytania nie umiał dać odpowiedzi, lecz jak zwykle w takich razach, chwilę zastanowiwszy się nad skutkami, nie mogąc ich wyrachować, wrócił do użycia teraźniejszości, do bezmyślnego nasycenia się swoim uczuciem, które jakkolwiek groźne nadal, rokoszne było samo w sobie. Jakże to mało jest ludzi tak wielkiego, bohaterskiego charakteru, coby przed poczynającą się namiętnością, przed jej urokami, na widok przyszłości groźnej swojej lub cudzej, cofnęli się? Najczęściej człowiek kiedy sumienia swego zaspokoić nie umie, rozbrat z niem czyni i rzuca się ślepo w ręce losu, myśląc że przecież jakiś koniec wszystkiemu być musi.

Tak właśnie uczynił Edward, a wiedział sam że źle robił, ale był słabym. W istocie stworzyć duszę do swej duszy, rozwinąć ją, ukształcić w swych rękach, a potem gdy kwitnie, gdy w całym blasku jaśnieje, ustąpić, porzucić wyrzec się tworu? — Któżby miał się na taką ofiarę?

Chciał przynajmniej wykreślić sobie dalsza postępowania drogę, choćby oczy na jej cel i koniec zamrużyć, ale i tego nie potrafił, tak się w nim wszystko burzyło, tak gorzał cały spodziewanem szczęściem, spodziewaną miłością, miłością niezwykłą. Zamiast zastanawiać się nad sobą i nią, on marzył i zgadywał rozmowy wieczorne, oświadczenie, odpowiedź, wielkie owe epoki historii namiętności, którą czynił sobie długą, zapalczywą, rokoszną.

Z myśli w myśl wpadając, uczył, że Julka, która już nie jest tem czem była przed rokiem, powinna mieszkanie i zajęcie odmienić. Przewidywał jednak, że trudno ją będzie do tego nakłonić, bo nie wiedział, jak ona sama znudzona i udęczona była swym życiem. — Umie roboty, będzie się z nich utrzymywać oko — mówił w sobie — w istocie ja ją utrzymywać będę, to mój obowiązek teraz. Najmę jej skromne, ubogie mieszkanie, ale takie w któremby przynaj-

mniej żyć można, oddychać powietrzem i widzieć choć nieba kawałek. Musi na to przystać!

Z temi nowemi myślami wieczorem znowu sunął się ulicą, mimo jej mieszkania, mimo Ostrej Bramy. Nigdzie nie postrzegł Julki, zmierzchało, obejrzawszy się wszedł do niej. Ona była u siebie. Gdy drzwi otworzył, obejrzała się, ale nie zadziwiła spostrzegłszy go.

— Przyszedłem dowiedzieć się o twoje zdrowie.

— O! ja już jestem zupełnie zdrową! odpowiedziała z udaną wesołością.

— Wiem teraz od czego byłaś chora, mówił dalej Edward, tysiąc razy przewidywałem, że to obrzydłe mieszkanie szkodzić ci musi. Jaby tu więźnia zamknął.

— Ubodzy, rzekła Julka, i zdrowie mają twardsze i cierpliwość z konieczności, mnie tu dobrze.

— To być nie może, odpowiedział żywo Edward—ty sobie wmawiasz, oszukujesz siebie, ja ci tu dłużej mieszkać nie pozwolę.

Julka obróciła się zdumiona.

— Dlaczego?

— Jakże młodemu żyć można, bez powietrza, słońca, i widoku świata i nieba?

— A kiedy musi?

— Niema w tem musu dla ciebie.

— Jakże to pan wiesz?

— Jutro ci dam mieszkanie.

— Czekał pan, przerwała Julka. Pan mi może chcieć dać wiele, ale ja przyjąć czy mogę?

— Teraz ja spytam, dla czego?

— Pan nie wiesz, co to jest wdzięczność i obowiązek, jakie to brzemie, kiedy tego długu niema czem wypłacić. I tak już za wiele winnam.

— Ty mnie? chyba ja tobie! Gdybyś wiedziała, jak czyniąc to byłem szczęśliwy!

Dziewczynka zamilkła, on mówił dalej

— Ale słuchaj mojego projektu. Ten handel mało korzystny a ponizający, wystawiający na wszystkie przykrości, jakie są zwykle skutkiem obcowania z klasą najniższą.

— Do której i ja należę, przerwała Julka.

— To fałsz zupełny, sama czujesz że nie, odpowiedział młody opiekun. Ani twoje zdrowie, ani twoja młodość nie wytrwa niepokalana, nietknięta, niezwiędła w takim życiu. Ja nie odwodzę cię od pracy, owszem, podaję ci tylko inną, umiesz roboty, z nich łatwo się utrzymasz. Mała para pokoików, które ci najmiej więcej będzie kosztować, wybiorę je ustronne, ciche, spokojne, daleko od oczów ludzi.

— Ależ na cóż to wszystko? z biciem serca odpowiedziała Julka, nie umiając opierać się mimo chęci, bo serce jej skakało do swobodniejszego życia. — Na co to wszystko, kiedy mnie i tak dobrze?

— A tak będzie lepiej, i sto razy lepiej, rzekł

Edward. Pozwól mi się w to wdać jako opiekunowi, który cie jeszcze przecie ni razu nie zdradził.

To mówiąc wziął ją za rękę; dziewczyna była pomieszana, ćmiło się biednej w oczach, serce biło gwałtownie.

— Więc zgoda? spytał.

— O! ja sama nie wiem.

— Spuść się na mnie, ja ci źle nie życzę. To jest jaskinia nie mieszkanie, niepoczciwy sklep wilgotny, który ci zdrowie odejmie, w dzień trzeba świecy, żeby co zobaczyć! No, zgoda?

— Panie, jam ci tyle winna.

— A! nie mówże o tem. Jutro najmiej zaraz mieszkanie, nie idź więcej do Ostrej Bramy. Sprzedaj swój kramik. Zobaczysz tak lepiej będzie! Jutro, jutro jeszcze przed wieczorem urządzę ci gospodarstwo, to ostatnia noc w tym nieznośnym lochu.

I tak mówiąc, chodził niespokojny, zapalony, a Julka patrząc z pod oka na niego ukradkiem, stała u swego łóżka w milczeniu.

— Ja nie wiem, dodał, jak ja ci mogłem tak długo pozwolić tu mieszkać.

— Boś mnie nie kochał, pomyślała w duchu Julka, która wszystko co się działo w jego duszy, na twarzy czytała.

IX.

Rano bardzo Edward był na nogach, ubrał się w długi surdut, wziął kapelusz i laskę, pieniądze do kieszeni, poszedł szukać mieszkania dla Julki. Już w myśli je widział, już w marzeniach je stroił, już całą przyszłość tego mieszkania i swoją odmalował był sobie.

Ale gdy przyszło pogodzić rzeczywistość z marzeniami, wiele zaszło jak zwyczajnie trudności. Jedne izdebki były za ciasne, drugie nadto obszerne, te zbyt na ulicę, tamte na brzydkie dziedzińce, w jednych nie podobała mu się fizjonomia prozaiczna, od drugich jakiś ślad przeszłych mieszkańców pozostały, odrażał. On chciał koniecznie tego co roił; czystej pięknej izdebki, z oknami na pola, na łęgi, na rzeki nie na brudne miasto, sąsiadów pewnych, uczciwych nie ciekawych i tysiąc jeszcze dokładał warunków, którym dogodzić razem było trudno.

Nic gorszego, jak kiedy człowiek ma do czynienia z imaginacją swoją i uroi sobie marzenia urzeczywistnić; walczy wówczas jak senny, któremu śni się, że go zabijają, a ruszyć się nie może.

Do południa chodził, szukał, patrzył, przebierał Edward, żadne z mieszkań, które widział, nie podobało mu się. Przeszedł tym sposobem większe i pomniejsze ulice miasta, prócz tych, których powierchowność odstręczająca, nie dozwalała myśleć nawet, aby tam podobne mieszkanie znaleźć się mogło.

(C. d. n.)